



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### W GŁĘBIACH MÓRZ.



Któż nie zna pereł i nie wie, że w odległej starożytności jeszcze uchodziły one za jeden z najwyżej cenionych klejnotów, kto nie słyszał podania o rozpuszczonej w occie perle Kleopatry, kto wreszcie nie widział różnej wielkości i ceny pereł sztucznych, używanych do haftów, pasmanterij i t. p. ozdób stroju kobiecego.

Najbardziej jednak poszukiwanymi *prawdziwymi* perłami są te, które z narażeniem życia wydobywają nurkowie z głębi mórz, mianowicie w zatoce perskiej i w morzu Indyjskiem pomiędzy wyspą Ceylon a wybrzeżem Koromandelskiem; te ostatnie długi czas nawet

uchodziły za najpiękniejsze i nosiły nazwę „uryańskich” czyli wschodnich, (od wyrazu „Orient”).

Przez długi czas nie wiedziano jaka jest przyczyna

powstawania pereł w łonie muszli i różnie też sobie tłumaczono przyczynę tego zjawiska. Starożytne podanie arabskie opowiada, że „zwierzę” mieszkające w namiocie o dwóch ścianach, skarżyło się raz Stwórcy na upośledzenie jakie mu w udziale przypadło. „Wszystkim dałeś, o Panie, kości do podtrzymania ciała służące, wszystkim kształt, ruch i mieszkanie na powierzchni ziemi; ja tylko mniej u Ciebie znaczę od ślimaka. W głębiach mórz, nietylko nigdy słońca nie oglądam, nietylko jestem bez kości, ale nawet ruszyć się z miejsca nie mogę. Skrzywdziłeś mię Panie, wymierz mi przeto sprawiedliwość, której nikt napróżno nie żądał od Ciebie”. Stwórca wszechrzeczy pomyślawszy chwilę, przyznał iż słusznymi są skargi zamkniętego w muszli zwierzątka. A ponieważ nie przystoi Mądrości przewidzianej zmieniać wyroki Swoje, wynalazł więc Pan inny sposób zadość uczynienia żądaniu skrzywdzonego stworzenia. Kości mu nie dał, ani ruchu i słońca oglądać nie pozwolił, lecz promieniowi słońca twarzą nadawszy kości, utworzył mu „namiot o dwóch ścianach” mówiąc: „Słusznem jest żądanie twoje, tworze lichy, zadość mu czynię przeto; lecz za karę iż śmiałeś szemrać przeciwko mej woli, kość się w tobie wytworzy i dolegliwością łono twe ubodzie, a nieruchomym zostaniesz po wsze czasy twego istnienia. I stało się, jako rzekł Pan, Mądrość przewidczna.

Tak prawi stara baśń arabska, a jak to często baśni się zdarza, jest w niej niemała część prawdy. W samej rzeczy perła „dolegliwością bodzie łono”, jest bowiem wytworem chorobliwym, powstałym w skutek podrażnienia przez ucisk lub zakłócenie mięczaka



przez obce ciało. Ucisk ten wywierany być może przez małe kamyczki, które się przypadkiem dostały do otwartej muszli, czasem przyczyną jego są pasorzytne wnetrzniki, przyczepione do płaszcza zwierzęcia, które wydziela z siebie masę perłową, warstwami osiadającą na wewnętrznej powierzchni muszli również jak i na obcym ciałku, dokuczającem mięczakowi, chociaż często niedostrzegalnem jest dla oka. Najpiękniejszemi perłami są te, które się tworzą na płaszczu tam, gdzie zwierzę wydziela najwięcej i najpiękniejszą masę; są one wtedy okrągłe, posiadają blask, białosć i wysoko są cenione w handlu jako perły czystej wody. Bywają także perły niebieskawe, żółtawe, różowawe, brunatne, czarniawe, znane pod nazwą *czarnych*; zależy to od głównego zabarwienia skorupy mięczaka, również jak i od czystości wód w których zwierzątko przebywa.

Kształt i wielkość perel nie mniej też bywają rozmaite: poczynawszy od drobnutkich jak ziarnko maku, a skończywszy na dużych, dochodzących nieraz 35 mm. długości. Te ostatnie przybierają najczęściej kształt gruszkowaty i spotykają się zawsze pojedynczo, podczas gdy drobnych znaleźć można nieraz po kilkadziesiąt w jednej muszli. Cena perły zależy od jej wielkości i koloru, a oznacza się stosunkowo do wagi w ten sposób, że cena perły jednokaratowej, uważanej za jednostkę, mnoży się ośm razy przez kwadrat z ciężaru dużej perły, której cenę ustanowić pragniemy. W zatoce Kalifornijskiej złowiono przed kilku laty perłę, która ważyła 75 karatów i sprzedaną została za 14000 dolarów.

Oprócz muszli perłowych czyli perłopławów morskich, przyczepionych do skał podwodnych za pomocą bisioru, znajdują się jeszcze w wielu rzekach i strumieniach Europy, perłopławy rzeczne zwane także skójkami perłowemi. Spotykają się one w Regen, w niższej Bawarii, w dopływach Menu, Elstery oraz w samej Elsterze, w Queis i Juppel na Szląsku, w Mołdawie i Węłławie a nawet znajdowano je kiedyś u nas w rzece Bzurze, w niektórych rzekach W. Brytanii, Norwegii i Rosji północnej, we Francji w Loarze; po za obrębem Europy znane są w dopływach Missisipi.

Perłopławy rzeczne przebywają najchętniej w strumieniach posiadających wodę przezroczystą, niezbyt bystrą, a płynącą łozyskiem żwirowatą; żyją gromadnie, to jest że w jednym miejscu znaleźć można dwie lub trzy warstwy muszli, przedzieione pomiędzy sobą, niegrubą warstwą piasku. Pomimo pozornej nieruchomości, poruszają się one jednak, lecz bardzo powoli i z bardzo długimi przestankami, lecz czynią to wtedy tylko, gdy znajdują się w niedogodnych dla siebie warunkach. Znajdujące się w nich perły bywają nieraz wielkości grochu polnego, po kilka w jednej muszli, rozmaitej są barwy i bardzo czasem piękne.

Półw perel morskich połączony jest z wielu trudnościami i to jest poniekąd przyczyną wysokiej ich ceny. Ławice perłowe w zatoce Manaar znajdują się o parę mil od brzegu, wyprawiać się więc muszą po nie rybacy w towarzystwie nurków, którzy wydobywają muszle z głębi morza. Odbywa się to zwykle na wiosnę, w marcu, bo w tym tylko miesiącu perły łowić się dają. Przed rozpoczęciem połowu przyszedł właściciel perel zawierając z sobą kontrakt, określający gdzie kto ma łowić, jaką ilość łodzi i statków posiadać mu wolno, poczem gdy z pierwszym brzaskiem dnia wystrzał armatni dał znak, że połów rozpoczęły, łodzie śpieszą każda na swoje miejsce. Na każdej z nich znajdujący się nurkowie spuszczały się na dno morza; każdy z nich przytwierdzonej na linie

i obciążony kamieniem, aby prędzej pójść na dno, ma u pasa kosz w który wkładać będzie muszle, nóż którym odcina te co przytwierdzone do skał rogowemi nitkami bisioru. Przed spuszczeniem się do wody, nurek zatyka uszy i nozdrza bawełną albo woskiem, w usta kładzie gąbkę umaczaną w oliwie, wciąga w płuca jak najwięcej powietrza, a gdy zanurzywszy się na 25 do 30 metrów i wrzuciwszy do kosza tyle muszli ile ich odciąć nadąży w ciągu 60 do 70 sekund, czuje, że dłużej nie wytrzyma pod wodą, daje znak rybakom szarpnięciem liny, a ci wyciągają go czempędzej na wierzch. Wypocząwszy, zanurza się znowu, co nieraz kilkanaście razy powtarza. Zazwyczaj po pięciu razem rzuca się w morze, gdy ci powrócą, przychodzi kolej na drugich pięciu i tak dalej, dopóki wszyscy nie odbędą wycieczki na dno.

Po powrocie na wybrzeże, co miewa miejsce w południe, następuje podział muszli, których właściciele gromadzą je na kupy i wystawiają na działanie słońca. Pod wpływem ciepła, ściśle zwarte skorupki muszli otwierają się same; znaleziona wewnątrz perła zostaje wyjęta, umyta, poczem murzyni świdrują w nich otwory i nawlekają je na sznury. Istnieje jeszcze inny sposób wydobywania perel, polegający na upakowaniu muszel w barylki, mocno potem zaszpionowane, skutkiem czego mięczak życie traci, gnije, a muszla sama się otwiera. W ten lub ów sposób wydobyte perły gatunkują się podług wielkości, osobno odkładając te, które posiadają kształt gruszkowaty, jako najbardziej poszukiwane.

Półw perel zatrudnia znaczną liczbę ludzi, po większej części murzynów, niezmiernie lichy płatnych za zajęcie narażające ich na tyle niebezpieczeństw.

Najobfitszym jest półw koło wyspy Bahram, na który wypływa przeszło 2000 łodzi. Rząd drogo każe płacić kupcom za pozwolenie łowienia perełowych muszli, które potem zostają wywożone do Bassory lub Bagdadu, gdzie ześrodkowywa się handel perłami.

Odkrycie Ameryki przyczyniło się do obdarzenia Europejczyków, głównie zaś Hiszpanów, istnemi skarbami w perłach, które tameczni krajowcy poławiali na wyspach Margeritta i Cubagna, oraz w zatoce Panamskiej. Indianie nosili za całą ozdobę sznury drogocennych perel, które drogą handlu zamiennego przeszły w ręce Hiszpanów; ci zaś posiadli jeszcze w dodatku wszystkie perły gromadzone w mausoleum wodza Talomeco, jako ofiary składane bóstwu przez pobożnych. Perły amerykańskie, do dziś dnia obficie poławiane w miejscowościach wyżej wymienionych, oraz w zatoce Kalifornijskiej, mniej są piękne od wschodnich i posiadają barwę ołowianą, która im odejmuje ów blask, stanowiący nieodzowny warunek ich piękności.

Półw perel rzecznych, dawniej dosyć poszukiwanych w handlu, przynosił znaczne korzyści książętom niemieckim, którzy uważali go za swój przywilej. Wydobywano je daleko łatwiej: ręką, nogą albo też zakończoną haczykiem łaską, jeżeli woda była głębszą, i z muszli gwałtem otwartej wydobywszy perłę, rzucano napowrót do wody mięczaka, aby znalazłszy się w tych samych co poprzednio warunkach, nową perłę w swem wnętrzu wytworzył. Od kilku lat półw perel rzecznych ustał z powodu zmniejszającej się liczby tak perel jak i samychże perłopławów. Z teje samej przyczyny przedsięwzięto środki ochronne dla zapobieżenia zbytecznemu trzebieniu perłopławów morskich, zaprowadzono nawet hodo-  
wle ochronną, mającą na celu mnożenie muszli i oszczędno-



ści w ławicach muszlowych. Trudniejszą wydawało się rzecz wywołać powstawanie pereł we wnętrzu perłopławów; okazali tego jednak Chińczycy, u których perełki znane już były na 2000 lat przed erą chrześcijańską i bardzo wysoko cenione. Wyczerpawszy zupełnie ławice perłowe, wpadli na myśl otrzymywania pereł sztucznych, która to czynność polega na wprowadzeniu obcego ciała pomiędzy płaszczy i wewnętrzną stronę skorupki. W Houtcheoufou, o trzy dni drogi od Ninggo, istnieje zakład wytwarzania sztucznych pereł, szczegółowo opisany w sprawozdaniu konsula angielskiego, p. Hague. W kwietniu i w maju, gdy mięczaki wyłazą na płytką wodę, odbywa się wielki polów na nie, w otwarte muszle wrzucają się drobne przedmioty, poczem perłopławy zostają przeniesione do stawów, skąd wydobyte po upływie 10-u miesięcy, zawierają już w sobie mniejszą lub większą perłę, sztucznie otrzymaną skutkiem wydzielin masy perłowej, którą mięczak okrywa obce ciało wrzucone pomiędzy skorupki jego muszli.

Inny znowu podróżny opowiada, że w otwarte muszle wrzucają Chińczycy przygotowane już i nawleczone na nitkę drobne z masy perłowej paciorki, węzłkami od siebie pooddzielane. Po upływie pewnego czasu, powlekają się one warstwą masy perłowej i nabierają pozoru pereł prawdziwych. Niektóre z nich bywają o dziwacznych nieraz kształtach, odpowiadających kształtowi przedmiotu, który powierzono mięczakowi, np. figurkę bożka, trójkąt, kwadrat i t. p. Ozdoby podobne, bardzo w Chinach cenione, dochodzą nieraz cen bardzo wysokich, jakkolwiek sztuczne perełki chińczyków, pochodzą tylko od perłopławów rzecznych.

W Europie pierwszy podobno uczony botanik Linneusz, świadomy przyczyny powstawania pereł, powziął myśl sztucznego ich wytwarzania i chciał ją dla użytkowania powierzyć królowi szwedzkiemu, lecz obojętnie przyjęty, sprzedał swoją tajemnicę kupcowi, który nie próbował z niej korzystać. Dotychczas nie posiadamy jeszcze w Europie pereł sztucznie wytwarzanych przez perłopławy; są natomiast perełki sztuczne wyrabiane z mieszaniny masy perłowej z innymi substancjami, lub też z alabastrem, z zębów stworzeń morskich i t. p. Pięknie wyglądających i pokażnej wielkości perełki dostarczają także orzechy kokosowe, które z tego powodu nazwaćby można perłopławami roślinnymi. Perełki kokosowe znajdują się wewnątrz orzechów. O wiele twardsze od pereł prawdziwych, nie mają wszakże ich blasku. Dochodzą wielkości wiśni. W Indjach prowadzą niemi handel ze względu że nieźle naśladują perełki prawdziwe.

T. W.

## BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Dobrze, tylko ostrożnie; możesz tu zostać sam jeden, jeżeli puścisz poręcz, nie położywszy żadnego ciężaru na swoim miejscu.

— Ależ tu jeszcze nie biegun! mój stary; — zawołał Ford, śmiejąc się z tej ambicji pocziwego sternika — znajdujemy się od niego co najmniej o 600 kilometrów, cóż; więc jeżeli najpierwszy dotkniesz stopą tego miejsca.

Dżems jednak nie dał sobie wybić z głowy swego zamiaru; trzymając w ręku linę, wyskoczył na śnieg i począł szukać kamieni. Po długich usiłowaniach, udało mu się oderwać od zamarzłego śniegu kilka kawałków stwardniałej lodowej powłoki, które złożył w łódce; kiedy uczuł, że aerostat nie ciągnie go już w górę, puścił poręcz.

— Czy pan chce wysiąść? — zagadnął z tryumfującą miną Forda.

— I owszem, mój kochany; półgodzinna przechadzka nie zaszkodzi po długim siedzeniu.

Dżems zakręcił się i w kilka chwil przyniósł dwie bryły lodu; kapitan mógł więc również opuścić aerostat. Stając na ziemi Ford wziął pod rękę Dżemsa, i obaj ruszyli wolnym krokiem po twardym śniegu ku skalistej ścianie, opasującej dolinę, niby olbrzymi czarny pierścień.

Marynarze z żywym wzruszeniem rozglądali się dookoła; ta dzika ustrona, leżąca wpośród tajemniczego ładu — prawdziwego końca świata, zrobiła na nich dziwnie przygnębiające wrażenie.

Od stromych bazaltowych szczytów, otulonych w błyszczący całun śniegu i przybranych w fantastyczne dyademy lodników, tchnęła jakaś, dreszczem przejmująca, pustka. Promienie nadchodzącego z firmamentu słońca, daremnie usiłowały wlać ciepło w te skały; wszystko tu pozostawało zimne, martwe; zdawało się, że śmierć obrała sobie siedlisko wpośród tych gór i wygnała z nich wszelkie ślady życia.

Woda i powietrze — dwa potężne czynniki geologiczne — nie brały prawie udziału w budowie tego świata; był on widocznie taki sam, jak w epoce, kiedy ręka Plutona wydzwignęła go z wnętrza ziemi. Szklista powierzchnia skał świeciła, jak gdyby niedawno dopiero wyszła z wulkanicznego ognia.

Nasi bohaterowie, stąpając po odwiecznym śniegu, szukali śladów lisa, lub niedźwiedzia; daremnie jednak: byli oni zapewne pierwszymi żywymi istotami, jakie kiedykolwiek ukazywały się w tej dolinie.

— Co za pustka! — rzekł Ford; — zdaje mi się, że jestem na zamarzłej planecie; na księżycu chyba możnaby znaleźć takie pępelne krajobrazy.

— Nigdy ludzie nie dostaną się zwykłą drogą do tej doliny, kapitanie; taka podróż saniami zabrałaby dziesięć lat czasu.

— Co najmniej, mój stary; biegun południowy nie tak łatwo da się zdobyć marynarzom.

— Coby zrobili marynarze w tych górach — mruknął sternik wzruszając ramionami; — nasz statek, to co innego; jeżeli nie dotrzemy na nim do bieguna, napewno nikt nie dokáže tego.

— Jakże nazwiemy dolinę?

— Najodpowiedniejszym mianem, według mnie, będzie dla niej „Dolina Księżycowa” — rzekł Ford.

— A dla gór?

— Śnieżne.

— Dobrze; mamy więc na „Ziemi Śmierci“, Księżycową dolinę, wśród „Śnieżnych gór”; trzebaby zostawić po sobie ślad jaki, po którym kiedyś ludzie poznają, że tu byliśmy.

— Jakiż ślad? Chyba kopiec z kamieni.

— Niech będzie kopiec; w środku pomieścimy puszkę blaszaną z naszymi nazwiskami i z datą dzisiejszą. Taki sam dokument złożymy pojutrze na biegunie.

— Podoba mi się twój pomysł, stary; sądzę, że Gromski chętnie przyłoży rękę do tego dzieła. Chodź, powiemy mu o tem.

I obaj marynarze, nie tracąc czasu, szybkim krokiem udali się z powrotem do balonu.

Zaledwie jednak uszli kilkaset kroków, kiedy uszu ich dobiegł głośny krzyk inżyniera.

— A to co? — zagadnął kapitan, zatrzymując się; — woła nas.

Rzeczywiście; Gromski, stojąc w łódce, dawał jakieś znaki towarzyszą; po chwili schylił się i począł gorączkowo wyrzucać na śnieg bryły lodu, pozostawione na miejscu Forda i sternika.



— Prędej, prędzej! — musiało stać się coś nadzwyczajnego — zawołał Ford, biegnąc.

— Ani kroku naprzód, kapitanie — rzekł Dżems, chwytając go za ramię. Uciekajmy!

— Przed kim? — zwaryował chyba... spieszmy raczej, jeżeli nie chcemy tu pozostać... Nagle Ford urwał, dostrzegł bowiem niebezpieczeństwo, przed którym Dżems rzucił uciekać.

O kilkanaście metrów od balonu, po stwardniałym śniegu; kroczył posuwisto olbrzymi biały niedźwiedź; zoczywszy wyrzucającego balast inżyniera, stanął na tylnych łapach, gotując się do napadu.

Gromski nie tracił jednak zimnej krwi; krzyknąwszy raz jeszcze na towarzyszy, aby się mieli na ostrożności, po-



Po stwardniałym śniegu kroczył posuwisto olbrzymi biały niedźwiedź...

chwycił ostatnią bryłę lodu. Nim jednak ciężar upadł na śnieg, niedźwiedź położył już potężne swe łapy na poręczy łódki; balon drgnął zlekka, lecz nie wzniósł się. Nasi dwaj marynarze, zdrtwiali z przerażenia, przypatrywali się tej strasznej scenie.

— Nie ucieknie! — zawołał Ford, biorąc się za głowę.

Gromski nie myślał jednak zdawać się na łaskę potwora; z szybkością błyskawicy poskoczył do spiżarni i w sekundę potem ukazał się na pomoście, dźwigając ciężką baryłkę z winem. Spodziewał się snadź, iż balon, zyskawszy siłę wzlotu większą od wagi zuchwałego napastnika, wyrwie się z jego szponów.

Zawiódł się wszakże; niedźwiedź bowiem, straciwszy ziemię pod nogami, uczepił się silnie łódki i powoli, wsiąąc na przednich łapach, wzniósł się wraz z nią w powietrze.

— Spadnie! — krzyknął radośnie sternik, klaszcząc w dłonie.

Obaj marynarze z najwyższym napięciem oczekiwali, co nastąpi. Niestety, przewidywania Dżemsa nie sprawdziły się; potwór, ze zręcznością akrobata cyrkowego, wdrapał się

na łódkę, i zmieszany, jakby nadzwyczajnem swem położeniem spoglądał na zapadającą się pod nim dolinę.

Tymczasem balon, wzbiwszy się ponad okoliczne skały, niknął z wolna poza niemi.

Nasi żeglarze daremnie starali się dostrzedz inżyniera; niestety, rezultat nierównej walki, jaka toczyła się w powietrzu, z góry można było przewidzieć.

— Inżynierze, inżynierze Gromski! — jęknął kapitan, gwałtem powstrzymując łzy, cisnące mu się do oczu.

Tak, inżynier zaskoczony znienacka, pozbawiony możności ucieczki, musiał uleść. Aerostat, utraciwszy już zapewne swego kierownika, biegł het z wiatrem, unosząc z sobą krwiożerczego potwora. Nasi marynarze byli więc zgubieni; i ich czekał nie mniej okrutny los wpośród tej śnieżnej pustyni.

Dżems nie myślał jednak o sobie; widział tylko nieszczęśliwego inżyniera, wijącego się w śmiertelnych uściskach napastnika. Rzuciwszy się na śnieg, targał w rozpacz swe siwiejące włosy i płakał, jak dziecko.

— Ach, dlaczego to nie ja tam zostałem, kapitanie! dlaczego?... — powtarzał.

Kapitan w milczeniu wlepił wzrok w skraj ściany bazaltowej, poza którą zniknął balon; na jego twarzy malowała się przejmująca do głębi boleść.

Na szczęście nie trwała ona długo; w niecały kwadrans bowiem po strasznej scenie, z poza linii skał ukazał się znów wydłużony korpus aerostatu, zbliżającego się całą siłą pary ku dolinie.

(d. c. n.)

## ZŁOŚLIWY SŁOŃ.

Leżałem wyciągnięty w moim hamaku, z rozkoszą wciągając w płuca chłodniejące powietrze, które poczynalo się nasycać wieczornemi oparami. Podzwrotnikowe słońce muskało ognistemi promieniami szczyty palm nad moją głowę, poruszane biegnącym od strony puszczy, ledwo dostrzegalnym wietrzykiem.

Europejczyk w Indyach żyć zaczyna dopiero po zachodzie słońca. Od czasu przyjazdu mego do półku z trudnością usiłowałem włożyć się w ten dziwny dla mieszkańca mglistego Albionu, tryb życia. Monotonne czynności młodszego oficera nie pochłaniały mi wiele czasu; ukończywszy o ósmej rano obowiązujące ćwiczenia z memi cipajami, resztę dnia przepędzałem w słodkim dolce far niente, i trzeba było jakiejś nadzwyczajnej okoliczności, ażeby mię z niego wyrwać.

Z przyjemnością spoglądałem na gasnącą poza łańcuchem sąsiednich gór gwiazdę dzienną, czekając, aż się ochłodzi, ażeby pójść na zwykłą wieczorną pogawędkę z kolegami; przedmiotem jej były prawie zawsze dawne i świeże przygody myśliwskie, których każdy z nas doznał niemało w czasie włóczęgi służbowej po Indyach.

O ósmej siedzieliśmy w komplecie na obszernej werendzie; nie brakło nawet chorowitego i zawsze stękającego Harry'ego.

— Ciekawa nowina — rzekł półkownik, zapalając cygaro; — dziś rano dowiedziałem się, iż gdzieś w pobliżu plantacyj pojawiła się gruba zwierzyna, mój Nodi straszne rzeczy opowiada o jakimś złośliwym słoniu w którego, podług wieści chodzących między krajowcami, wstąpić miała dusza zmarłego niedawno, a odznaczającego się wielkiem okrucieństwem ich naczelnika.

— No, ale on sam objaśni nas najlepiej. Jakto było, Nodi? — dodał zwracając się do usługującego nam indyana.

— Źle jest mówić o tem dużo, sir — odrzekł półgłosem Nodi drżącemi rękami stawiając na stole chłodniki — on może trafić i tutaj.

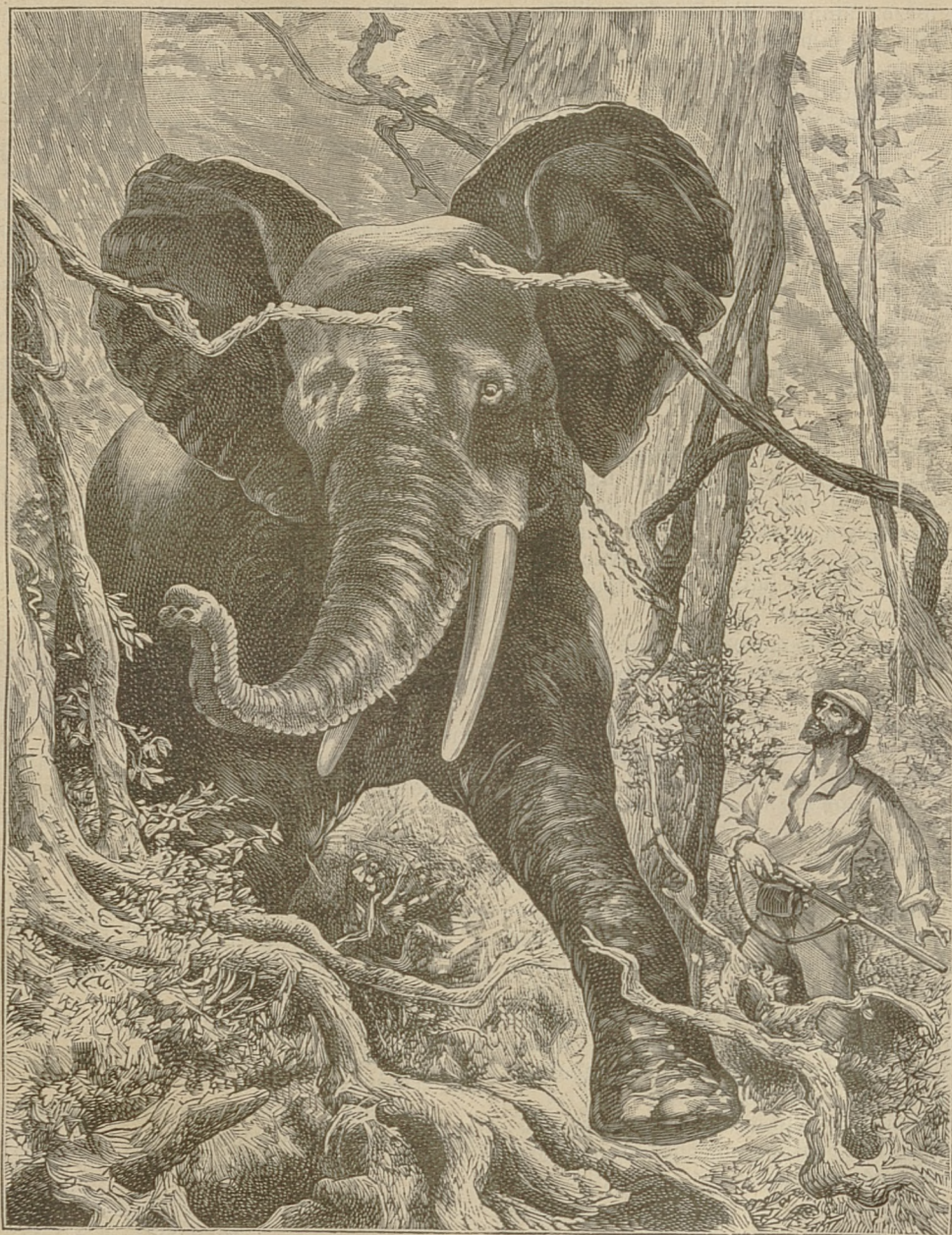


Zabobonna trwoga, malująca się w oczach Nodi'ego, wywołała głośnie śmiechy w całym towarzystwie.

— Nie będziemy czekali na to — odrzekłem — gdybym wiedział, gdzie można spotkać tego waszego odrodzonego naczelnika, sambym poszedł go szukać, ażeby złożyć mu uszanowanie.

stanęlibyśmy na miejscu; przypuszczam, że słoń, zasmakowawszy w słodkiej trzcinie, ponowi i dzisiejszej nocy wyprawę na plantacyę. Usadowiwszy się więc w pobliżu, będziemy mieli ładną sposobność posłać mu kulę Martini'ego, gdy będzie wracał z uczty.

Nie namyślałem się długo.



ZŁOŚLIWY SŁOŃ.

— Doskonała myśl! — zawołał półkownik — dziś rano widziano go o 2 mile stąd na plantacyi trzciny cukrowej, położonej tuż na skraju puszczy. Włóczęga wracając do po obiedzie do lasu, spotkał jakiegoś parobka i stratował go podobno na śmierć. Stąd owe tajemnicze przypuszczenia, które z taką trwogą wypowiedział mi przy obiedzie Nodi.

Gdybyśmy we dwóch wyruszyli o północy, to o 3-ciej

Zjadłszy na prędce wieczerzę, wróciłem do domu i rozkazałem kategorycznie memu służącemu, ażeby przygotował się na wyprawę. Ma się rozumieć, że ani jednym słówkiem nie wspomniałem o jej celu.

O północy jechaliśmy już z półkownikiem wąską drogą, oświetloną jasno promieniami księżyca w pełni.

Aniśmy się obejrzel, gdy już minęły dwie godziny mo-



notonnej drogi i przed nami na ciemno szafirowem tle nieba zarysowały się sylwetki zabudowań plantacyi, nawiedzanej przez złośliwego słonia.

Jej właściciel, opasły holender, dowiedziawszy się o celu naszej wycieczki, przyjął nas z otwartymi rękami i skwapliwie udzielił wszelkich objaśnień.

Ułożyliśmy się, iż półkownik zajmie stanowisko na polu w trzcinie, ja zaś na skraju lasu, do którego prawdopodobnie wracać miała nad ranem zwierzyna,

Idąc śladami pozostawionymi przez słonia, dotarłem do pierwszych drzew puszczy, która w tem miejscu, podeptanymi magnoljami i porozrywaną tkanką pnączów, zdradzała drogę obraną wczoraj przez słonia. Rozłożyłszy sykomor, którego gałęzie rozchodziły się samotnie w stronę pola, wydał mi się najodpowiedniejszym na pomieszczenie dla mego służącego, który miał mię umówionym sygnałem uwiadomić o zbliżaniu się zwierza. Rozkazałem mu wdrzeć się na najwyższy konar i śledzić bacznie lany trzciny; sam zaś umieściłem się o kilkadziesiąt kroków dalej w gęstwinie ljan, tuż obok szlaku, pozostawionego przez słonia; w ten sposób zachowałem sobie pewną niezbędną swobodę ruchów.

Z obranego punktu, przez szpary w gąszczu, mogłem dojrzeć sykomor, na którym siedział mój służący, oraz niektóre części pola należące do plantacyi.

Spojrzałem na zegarek; przy promieniach księżyca, zblakanych wpośród otaczających mię pnączów, dostrzegłem, iż była właśnie 3-cia po północy, do świtu pozostawało zatem całe cztery godziny.

Podobnie długie oczekiwanie pośród puszczy nie było najprzyjemniejszem; nadstawiałem ucha na każdy najmniejszy szelest i na wszystkie owe tajemnicze odgłosy, dochodzące mnie z wilgotnem tchnieniem wiatru. Trzeba się było mieć na ostrożności; wiedziałem bowiem, że w Indyach, nawet w pobliżu zamieszkałych siedzib ludzkich, nie trudno się spotkać z węszącym zdobyczą tygrysem.

Na drzewie byłbym zupełnie bezpiecznym, nie chciałem jednak włączyć na nie, gdyż w ten sposób pozbawiłbym się dobrego obstrzału.

Dla oszczędzenia sił usiadłem sobie na zwoju sięgających aż do ziemi pnączów i w tej pozycji, trzymając w ręku nabity eksplodującą kulą karabin, i nie ruszając się w obawie natrafienia na jakiego jadowitego węża, oczekiwałem niecierpliwie umówionego sygnału z sykomoru. Mijały jednak kwadransy i godziny, a służący mój nie odzywał się; uwaga, natężona w monotonny szmer poruszanych wiatrem liści, wprowadziła mię powoli w pewien rodzaj półsnu hipnotycznego, z którego daremnie starałem się otrząsnąć siłą woli. Kilka razy traciłem równowagę i uderzałem podbródkiem o dłonie, oparte na lufie; to mię wytrzeźwiała, lecz tylko na chwilę. Zapaliłem cygaro, dla odegnania gwałtem cisnącego się na powieki snu, i w zamyśleniu spoglądałem na iskrzący się w ciemności jego ogień. Trabucos stłił się jednak zupełnie, a w otoczeniu mojem nie się nie zmieniło.

Poczynałem powątpiewać o skuteczności wyprawy tembardziej, że zegarek wskazywał szóstą; zniechęcony pozwoliłem się opanować niepokonanej drzemce.

Z tego błęgiego stanu wyprowadził mię jakiś niekreślony odgłos, którego na razie nie potrafiłem rozpoznać. Otworzywszy oczy, ujrzałem wypływającą na horyzont ognistą tarczę słońca, której promienie, wciskając się w gąszcz, świeciły mi prosto w oczy. Na razie nie mogłem sobie zdać sprawy, z tego gdzie się znajduję; właśnie powstałem, ażeby podnieść wypuszczony z ręki karabin, gdy w tem na jasnem tle widzianego przezemnie skrawka nieba, pojawiła się jakaś czarna, podobna do gęstej chmury masa. Poplątane liany nie pozwoliły mi rozpoznać przyczyny tego zjawiska.

— Otóż i nasz odrodzony naczelnik—mrunknąłem tknęty przeczuciem.

Z karabinem w ręku postąpiłem parę kroków naprzód, ażeby widzieć lepiej.

(d. n.)

# MY I ONI.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE

przez

Bronisławę Porawską.

(Dalszy ciąg).

## Scena III-cia.

ZOSIA sama.

ZOSIA. Co też ta Różia zawsze narobi historyj swoją próżnością, to okropność. Wczoraj tyle było wstydu z tą jej balową toaletą, w której weszła do salonu, że biedna mamusia aż się zaczerwieniła. Dziś znów wypowiedziała swe zdanie, że do teatru należeć nie będzie, bo ona z ekonomównami zadawać się nie myśli. Ach! jaką też ostrą naukę usłyszała od mamusi, która się znów zmartwiła. Ja nie wiem co jej się zrobiło, dawniej taka nie była. Wprawdzie zawsze miała muszki jakieś, ale nigdy tej dumy i takiej nieuzasadnionej pychy. Coby tu zrobić żeby ją wyleczyć z tego nierozsądku, z tej próżności, która ją nawet śmieszną czyni. Wszelkie perswazyje i nauki mamy i p. Wandy, są prawie bez skutku, powiada że się do niej wszyscy uprzedzili. *(chodzi zamyślona)*. Muszę się naradzić z Henrykiem, on czasem miewa dobre pomysły, może jaki figiel prędzej poskutkuje jak wszystkie słowa rozumne *(uchyla drzwi i woła)*. Wiktorka! Wiktorka!

WIKTORKA *(wbiegając przedko)*. O jej! leczę, leczę, co się panience zrobiło, laboga! myślę że się pali.

ZOSIA. Tak dużo mówisz bez potrzeby, nie będę przecież mówiła pocichu, chcąc cię zawołać.

WIKTORKA. I to prawda, panienka to wszystko zaraz powie dokumentnie, że człowiek zrozumie jak nic.

ZOSIA. Nie wiesz, czy pan Heryk jest u siebie?

WIKTORKA. A jakże, jest, bo gwizdże aż się rozlega, nie przymierzając jak kos.

ZOSIA. Moja Wiktorko, zwykle mówisz zawiele, odpowiedz na pytanie i na tem dosyć.

WIKTORKA. I to prawda, panienka mówi jak ksiądz proboszcz na ambonie, aż miło słuchać.

ZOSIA. Idź poproś, żeby pan Henryk tu przyszedł.

WIKTORKA. Niby tu, do panienki.

ZOSIA *(wzruszając ramionami)*. Tak tu, do mnie.

WIKTORKA *(odchodzi, przy drzwiach staje i odwraca się)*. Tu, do tego pokoju ma przyjść pan Henryk?

ZOSIA. Tak, do tego pokoju.

WIKTORKA *(wracując się z za drzwi)*. Czy zaraz, proszę panienki.

ZOSIA. Proś żeby zaraz przyszedł.

WIKTORKA. Dobrze proszę panienki, duchem poproszę *(odchodzi)*.

ZOSIA. Dobra dziewczyna, ale trochę zaśmiała, udaje zawsze naiwną, a wcale nią nie jest.

*(słychać gwizdanie za sceną)*.

## Scena IV-ta.

ZOSIA, HENRYK.

ZOSIA. Słychać cię o wiorstę drogi jak idziesz, Wiktorka powiedziała, że gwizdzesz jak kos.

HENRYK. Dam ja jej kosa, jak honor kocham, dostanie za to.

ZOSIA. Mój Henryku, nie używaj tego wyrażenia, „jak honor kocham”, wiesz że ojciec zawsze cię za to łaje.

HENRYK. Już morały, czy po to kazałaś mi tu przyjść, tu, do tego pokoju, jak mi to z dziesięć razy powtarzała Wiktorka, aby mi prawić nauki?

ZOSIA. Wcale nie po to, mam ja coś ważniejszego do pomówienia.

HENRYK. Słucham z całą uwagą, byle niezbyt długo,



bo jadę do Balumina, przyrzekłem Zenonowi że dziś będę u niego.

ZOSIA. Czy wy tak dobrze jesteście z sobą?

HENRYK. Jak najlepiej, to bardzo dobry chłopiec, znamy się dawno, poznałem go w Warszawie u ciotki Maryni.

ZOSIA. Myślałam że będzie próżny.

HENRYK. Próżny? nadto jest rozsądny i dobrze przez matkę wychowany, ojca jak wiesz stracił mając lat dziewięć. Ale mów Zosieczko interes, krótko, węzłowato, bo po konie już posłałem.

ZOSIA. Mój Henrysiu, czy ty nie uważasz jak ta nasza Różia staje się codziennie prawie nieznośniejszą i... śmieszna doprawdy.

HENRYK. Doskonale uważam, dziś wyprowadziła mnie z granic cierpliwości odzywając się o pannach Żarskich z takim lekceważeniem. Żebyś był mamą, tobym ją zbił.

ZOSIA. Fe, zaraz zbił! strasznie znać na tobie szkolną ławę i wpływ wesółych koleżków.

HENRYK. Ba, dalibyśmy takiemu pyszałkowi gdybyśmy go mieli między sobą. No, ale do interesu, siostrzyczko, do interesu.

ZOSIA (*z pewnem zakłopotaniem*). Widzisz, mój Heniu, ja... myślę żebyś może co wynalazł na poprawienie Rózi. Nie masz pojęcia co mówią jej zawsze i rodzice i panna Wanda, ona coraz gorsza, a teraz też ten stosunek z panią R. w głowie jej do reszty przewróci. Doprawdy, mnie aż wstyd za nią. Żebyś wiedział co nam się wszystkim zrobiło, jak wczoraj weszła do salonu wystrojona, ja ledwie się nie rozplakałam, bo dostrzegłam, że pani R. uśmiechnęła się nieco.

HENRYK. I miała z czego, ciocia Marynia powiada, że to bardzo rozumna osoba, a choć bogata zbytków u niej nie ma. Ja sam myślałem że Zenon będzie nosa zadzierał, a tymczasem jest to bardzo miły i serdeczny chłopiec.

ZOSIA. To dobrze, ale mnie ciągle w głowie, żeby tę naszą Rózię poprawić.

HENRYK (*chodzi zamyślony, po chwili staje, prztyka palcami i mówi wesoło*). Wiem! wiem! mam mały planik, doskonale!

ZOSIA. Więc mów, mów, mój drogi.

HENRYK (*wyglądając oknem*). Ach, mój kasztan niecierpliwi się czekając na mnie, za powrotem więc powiem ci wszystko, bo w drodze ułożę plan cały dobrze, a zdaje mi się, że dokuczymy siostrzyczce tak, że jej rozumu napędzimy do głowy.

ZOSIA. O! tylko na dokuczanie nie pozwolę.

HENRYK (*z powagą przesadną*). Do rany trzeba przyłożyć rozpalone żelazo, aby ją uleczyć, chwast trzeba wyrwać z korzeniem, aby go zniszczyć. No, ale do miłego widzenia, siostrzyczko, za powrotem opowiem ci rzecz całą (*klania się bardzo nisko i wychodzi*).

## Scena V-ta.

ZOSIA sama, później RÓZIA.

ZOSIA. Co ten Henryk wymyśli, bardzo jestem ciekawa, żeby tylko nie chciał zawstydzić Rózi, bo na to nie pozwolę, przecież ona i tak zmienić się musi; niepodobna, aby wpływ rodziców i panny Wandy pozostał bez skutku.

RÓZIA (*wchodzi nuchmurzona i smutna*). Mama koniecznie ten teatr grać mi każe, a ja się przekonać nie mogę aby się uczyć roli. Zresztą, jeżeli się nauczę, wypowiem to jak lekcye, bez przejęcia i myśli.

ZOSIA (*uśmiechając się*). To lekcye wydajesz bez myśli?

RÓZIA. Nie chwytań mię za słowa, zawsze jesteś zbyt wesoła.

ZOSIA (*wesoło*). A tak, jak poranek majowy.

RÓZIA (*obrażona*). Nie lubię tych dowcipów.

ZOSIA. Zgoda, będziemy mówić bez dowcipu.

RÓZIA. Nie wiesz gdzie Henryk?

ZOSIA (*poważnie*). I owszem, wiem, pojechał do Balumina.

RÓZIA. Czy powie Zenonowi, że do tego teatru mają należeć i Żarskie?

ZOSIA. Sądzę że powie.

RÓZIA. A jak Zenon nie przyjmie?

ZOSIA. To nie będzie grał.

RÓZIA. Któż go zastąpi?

ZOSIA. Młody Żarski.

RÓZIA (*przeżrana*). Co! jeszcze i on? więc tylko oni i my występowalibyśmy w tym teatrze?

ZOSIA (*ciąggle poważnie*). Naturalnie, oni i my (*siada przy stoliku i zaczyna rysować*).

RÓZIA (*chodząc prędko*). Oni i my. Boże drogi! i na to wszystko ma patrzeć pani R., co ona sobie pomyśli, gdy zobaczy u nas takie towarzystwo!

ZOSIA. Uspokój się, dostaniesz gorączki ze wzruszenia, radzę ci, weź się lepiej do roboty, bo już tylko dwa tygodnie do imienin ciotki Maryni.

RÓZIA (*z gniewem*). Daj mi pokój i z imieninami z robotą, i z ciotką Marynią, która lepiej żeby była w domu te imieniny obchodziła, nie u nas. Nie wiem, co wam przyszło do głowy z tym teatrem.

ZOSIA (*spokojnie*). Ty pierwsza zaproponowałaś.

RÓZIA. Tak, bo myślałam że sami tylko grać będziemy, a wy zaprosiliście Anielkę i Marynię?

ZOSIA (*przyglądając się swej pracy*). E, to znów tak źle nie jest jak mi się zdawało, i myślę że ciocia Marynia będzie zadowolona z mej pracy.

RÓZIA. Ja nie wiem jak ty możesz tak spokojnie siedzieć i rysować.

ZOSIA. Cóż chcesz, abym za tobą biegała i lamentowała nie wiedząc o co?

RÓZIA. Jakto nie wiedząc o co? Gdybyśmy teraz zrobili znajomość z panią R., zaczęlibyśmy bywać u niej, a może poznalibyśmy tam i więcej ludzi z tego towarzystwa i zawsze bywalibyśmy u nich, i tak dalej, i tak dalej, a tak co?

ZOSIA (*znów rysuje*). A tak to co? Cóż stanie na przeszkodzie tej dalszej znajomości?

RÓZIA. Czy ty tego nie rozumiesz? Jak pani R. zobaczy u nas państwa Żarskich z całą rodziną, to z pewnością zerwie z nami, bo przecież to nie dla niej towarzystwo.

ZOSIA. Zostaw ten kłopot rodzicom. Wiesz Róziu, że ja nie mogę tego pojąć, co tobie do głowy wjechało z tą jakąś dumą, i pragnieniem towarzystwa ludzi bogatych i eleganckich. Czyż ci nie wesoło i nie dobrze w naszym kochanym domku i w towarzystwie jakie bywa u rodziców? Zresztą, czy ty myślisz, że być bogatą i posiadać jakiś tytuł, to już największe szczęście i zaszczyt? Powiedz mi, Róziu, nasz ojciec jest sobie obywatelom średnio zamożnym, a czy jest kto na świecie całym, kogobyś więcej szanowała i kochała?

RÓZIA. A dajże mi pokój z morałami i pytaniami! Ojciec to zupełnie co innego, ja mówię o ludziach obcych.

ZOSIA. Ale może panią R. więcej cenisz jak mamę, co?

RÓZIA. Powiedziałam ci, że mówię o ludziach obcych.

ZOSIA. Panna Wanda jest nam obcą, a ja ci powiadam, Róziu, że ją sto razy więcej i kocham i szanuję i cenię, aniżeli panią R., ba, niżeli nawet dziesięć takich pań R. A ty?

RÓZIA (*zakłopotana*). To znów co innego.

ZOSIA (*wzruszając ramionami*). Zawsze co innego, sama nie wiesz co mówisz i czego chcesz. Usłuchaj dobrej rady, weź się do roboty, potem do uczenia roli, a zobaczysz, jaka będziesz wesoła i zadowolona.

RÓZIA. Z tobą wytrzymać niepodobna, ciągle tylko moralizujesz, pójdę lepiej do osobnego pokoju, przynajmniej nikt mi nad głowę nie będzie ciągle paplał.

ZOSIA. Dziękuję.

RÓZIA (*wychodząc spogląda w okno*). Ach! hrabia Zenon przyjechał z Henrykiem.

ZOSIA (*wybuchając śmiechem*). Ha, ha, ha, hrabia Zenon, ależ on ma dopiero lat piętnaście, jest prawie w moim wieku, śmiesznie abyś mu dawała ten tytuł. Oj! Róziu! Róziu!

RÓZIA (*ciąggle przy oknie*). Idą tu, żeby nie weszli do tego pokoju.



ZOSIA. A to dlaczego?  
 RÓZIA. Przecie widzisz, że nie jestem ubraną.  
 ZOSIA. Idź, włóż niebieską suknię.  
 RÓZIA (*niespokojnie spogląda to po sobie to w okno*). Idą tu, ten Henryk gotów wejść tu.  
 ZOSIA. Nie bój się, pójdą pierw do mamy.  
 RÓZIA. Tak, mama poszła do Walentowej, bo podobno gorzej chora.  
 ZOSIA. Szkoda, że panny Wandy niema, pojechała do Zalesia aby się zobaczyć z przyjaciółką, która przyjechała do pani Żarskiej.  
 RÓZIA. Idą, idą, już ich słyszać.  
 HENRYK (*za sceną*). Proszę, tu, do tego pokoju.

## Scena VI-ta.

ZOSIA, RÓZIA, ZENON, HENRYK.

HENRYK (*robiąc miejsce Zenonowi*). Proszę, a, oto i siostry zastajemy tu właśnie.  
 ZENON (*z upuszczoną miną*). Miło mi powitać panie.  
 HENRYK. Spotkałem Zenona na przejażdżce, i mimo, że się opierał, zabrałem go do nas.  
 ZENON (*krzywiąc się nieco*). Właśnie pan Henryk obiecał dziś być u mnie, i wyjechałem tylko naprzeciwno, chcąc przy tej sposobności, użyć codziennej przejażdżki. Ale, (*z naciskiem*) pan Henryk zabrał mię koniecznie.  
 HENRYK. Ale cóż znów żebyś mi mówił panie, w naszym wieku te ceremonie niepotrzebne.  
 ZENON (*podnosząc głowę*). Ja bo mówię: ty, tylko do rówieśników z naszej sfery.  
 RÓZIA (*kładąc rękę na piersiach*). Ach!  
 ZOSIA (*urazona*). Istotnie Henryk zawinił, że nie zapytał pana, czy mu wolno być tak poufałym, względem tak mało znajomego.  
 HENRYK. Kogoż pan nazywa kolegami ze swej sfery?  
 ZENON (*z dumą*). Naturalnie równych mi stanowiskiem w świecie.  
 ZOSIA (*żywo, coraz więcej obrażona*). Czy wolno zapytać jakie pan zajmujesz stanowisko?  
 ZENON. Moi rodzice są hrabstwo R., ludzie majątni.  
 ZOSIA. A pan czym jesteś?  
 ZENON (*n. s.*). A to mię wystawił na dudka (*głośno*). Ja, zdaje mi się, że powiedziałem to jasno.  
 ZOSIA (*odwracając głowę*). Zupełnie ciemno, nie jasno.  
 HENRYK. Przepraszam więc pana, już się tej poufalskości nie dopuszczę, ale niechże pan siada, (*podsuwa krzesło*) ot, tu bliżej mej siostrzyczki Rózi, która przepada za ludźmi z pańskiej sfery. Niechże ją pan zaszczyci swą rozmową.  
 ZOSIA (*surowo*). Henryku, co to znaczy?  
 HENRYK (*z udaniem zdziwienia*). Czy źle co powiedziałem? A może Rózia zmieniła zdanie?  
 ZENON (*siadając blisko Rózi*). Pani była w Paryżu?  
 RÓZIA (*pomieszana*). W Paryżu? nie, nie byłam jeszcze.  
 HENRYK. Moja siostra na zimę pojedzie do Paryża.  
 ZENON (*niedbale*). Jak można do tej pory nie być w Paryżu. A może pani po francusku nie umie mówić?

ZOSIA (*spoglądając na Henryka*). Co to jest?  
 HENRYK (*kładzie palec na ustach*). Cicho, daj pokój.  
 ZOSIA (*grożąc Henrykowi n. s.*). Ach! ty niedobry. (*zaczyna znów rysować, spoglądając cochwila na zakłopotaną minę Rózi*).  
 RÓZIA (*nieśmiało*). O! po francusku mówię oddawna.  
 ZENON. Tak, mówi pani po francusku?  
 HENRYK. Wie pan, że my tu mamy do pana małą prośbę.  
 ZENON (*z protekcyjnym uśmiechem*). Prośbę? i o cóż to państwo chcieli prosić?  
 HENRYK (*z ukłonem*). Czybyś nie zechciał należeć do amatorskiego teatru.

(d. n.)

## SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Wprost i wspak razem przeczytaj sobie,  
 A zawsze będzie rzeka,  
 Lecz je na ziemi rozdziela obie,  
 Przestrzeń bardzo daleka.

Jedna, po żyznej u nas równinie,  
 Ku brzegom innej dość wąsko płynie,  
 Wśród gajów, łąnów zboża;  
 Druga zaś fale  
 Toczy wspaniale,  
 Do północnego morza.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Z następujących sylab: A a—a—an—an—ba—by—  
 cya—ca—da—dy—dra—dza—gun—ka—ka—ka—ro—la—li—  
 —dos—man—mów—ment—na—no—ny—u—ra—pol—ry—  
 timp—trecht—sa—ułożyć wyrazy których znaczenie:  
 1. Miasteczko w gub. siedleckiej. 2. Drzewa krajów podzwrotnikowych z działu jednoliściennych. 3. Wyspa, na której się znajdował jeden z cudów świata. 4. Bóstwo w starożytności opiekuńcze wód u dawnych Rusinów i Zmudzinów. 5. Roślina z rodziny traw, uprawiana szczególnie w Turcyi. 6. Drzewo z rodziny czulków. 7. Ciało najtwardsze. 8. Miasteczko w gub. lubelskiej. 9. Zielsko z rodziny złożonych. 10. Miasto w Indyach, posiadłość angielska. 11. Miasto w Holandyi pamiętne pokojem 1713 r. 12. Zwierzę z gromady płazów.  
 Początkowe i końcowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, utworzą nazwisko bohatera jednej ze znanych nam powieści, a końcowe w tym samym kierunku, nazwę miejsca jego pobytu.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Szurady: Na—za—ret.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRĘŚĆ: W głębiach mórz. — Balonem do bieguna p. Wł. Umińskiego (z drzew.) — Złośliwy słoń (z drzew.) — My i oni, komedyjka w jednej odsłonie p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Kotek, wiersz (z drzew.) — Tak być powinno p. V. Cairo (z drzew.) — Oleś p. M. Weryho. — Odwaga i zuchwalstwo, p. M. P. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród puszczy meksykańskich.



# WIECZORY RODZINNE.



## KOTKA.

Ta Lizka, koteczka babcina  
Do figlów, łakomstwa jedyna,  
Codziennie rano bez pytania,  
Przychodzi z babcią do śniadania.  
I zaraz talerze, wszystkie miski  
Wyczyści języczek pani Lizki.  
Zna się już z babci filiżanką  
Bo lubi kawę ze śmietanką.  
Ta Lizka, koteczka babcina  
Do figlów, zabawy jedyna.  
Zawsze pracuje, bo nie jest leniwa,  
Nie ujdzie jej łapek, myszka siwa.  
Babcia jej więc nie odgania  
I daje resztki śniadania.

## TAK BYĆ POWINNO.

Mówiono ogólnie, że Ninka ma dziwne szczęście do ludzi, co jest niezaprzeczenie przyjemnością nielada — ale ja powiem, że daleko większą zasługą jest oprócz tego być kochaną przez swoich najbliższych, z którymi przebywamy nieustannie. Słyszałam nieraz dzieci chlubiące się, że chociaż w domu je strofują, jednak goście są niemi zachwyceni, i nie szczędzą im pochwał, ale zdaje mi się, że to nic dziwnego. Nie sztuka być grzecznym

i przyjemnym dla osób, które się widzi chwilowo. Gości można zjednać sobie odrazu grzecznym ukłonem i uprzejmą minką. Zdaje mi się że trudniej pozyskać sympatią rodzeństwa, domowników, służby, na to trzeba już być dobrym...

A Ninę kochano właśnie tak ogólnie, bo też była dobrą w istocie. Każdemu biegła z pomocą skoro jej potrzebowano, dla smutnych miała zawsze w pogotowiu kilka słówek pociechy, dla nieszczęśliwych współczucie i oczy łez pełne w braku możliwości zapobieżenia złemu... nie lubiła tylko gdy ją chwalono. Wówczas twarzyczkę jej pokrywał rumieniec, i odwracając oczęta mawiała zwykle: O, niema o czem mówić, robię tylko to co trzeba, „tak być powinno”.

To też każdy byłby za nią niewątpliwie wskoczył do ognia, gdyby zaszła tego potrzeba, a pierwszy to już pewnie Józio, jej rodzony braciszek.

Józio kochał bardzo swoją starszą nieco siostrzyczkę, ale bo też ile to razy wybawiła go ona z trudnego położenia! Był kiedyś chory, to nieodstępowała go niemal, starając się skrócić smutne chwile pozostawania w łóżku, nie pamiętał o czem dziś mówił korepetytor, powtórzyła mu, jako zdolniejsza i lepszą obdarzona pamięcią, choćby całą lekcją. I tak zawsze...

Pewnego razu młody wujek Staś, obiecał zabrać z sobą dzieci na ślizgawkę. Oboje lubili niezmiernie ślizgać się, radość więc była wielka, i czemprowadz zabrano się do odrabiania lekcji, bo wujek miał przyjść lada chwila, a po powrocie dzieci miały korepetycję, do której trzeba się było przygotować. Nina odrobiła szybko lekcje i właśnie zamykała kajet, kiedy do pokoju zajrzał wujek



Jakie masz zadanie, pokaż?



— No, jesteście gotowi? — zapytał — śpieszcie się, czekać nie mogę ani chwili, bo na łodzi mam się zejść ze znajomymi.—Ninka spojrzała na brata, który wciąż jeszcze pochylony nad tabliczką, odrabiał zadanie i spotkała się z jego smutnym wzrokiem.

— Nie skończyłeś jeszcze Józiu? — spytała.

— Ach, nie. — Nie mogę sobie dać rady z tem nieznośnem dzieleniem, to już chyba ja nie pójdę... Ale ty idź — dodał szybko, chcąc ukryć żal w głosie. — Wujek czekać nie ma czasu, a ja nieprędko skończę...

Ninka potrząsnęła główką przecząco. — Jakie masz zadanie, pokaż?... — spytała podchodząc do niego.

Pokazał jej pięć cyfr do podzielenia przez dziewięć a jakąż była jego radość, skoro po chwili namysłu oddała mu tabliczkę.

— Masz zadanie zrobione — rzekła śpiesznie — ale musisz mi dać słowo Józiu, że dziś wieczór odrobisz je sam poraz drugi. A teraz chodźmy!...

— Daję ci słowo, Nino!... Chłopczyk objął siostrę za szyję i na różowej buzi złożył dziękczynny pocałunek.

Za chwilę, przeprosiwszy wujka za małą zwłokę, wyruszyli z nim na ślizgawkę.

— Jesteś dobrą siostrą Nino — rzekł wuj całując jasną jej główkę — widziałem coś zrobiła, i chciałbym żebyś zachowała na zawsze równie dobre serduszek...

Odwrociła oczy jak zwykle i pobrząkując łyżwami odparła, jakby na usprawiedliwienie swego postępuku:

— O, wujku, zdaje mi się, że na całym świecie tak być powinno!... Józio nie powinien jednak korzystać z twojej uczynności i przywykać do tego, żeby za niego odrabiano lekcye...

— Ja też sam zrobię to dzielenie — żywo podchwycił Józio — wiem, że byłoby to niesumiennością oddać korepetytorowi zadanie nie przezemnie rozwiązane.

Myślicie może kochani czytelnicy, że Ninka nie istnieje na świecie, że jest tylko utworem mej wyobraźni?... Otóż nie, wierzcie mi. Znam ją osobiście i zaręczam wam, że gdybyście ją poznali, musielibyście kochać ją jak ja i wszyscy, bo nie kochać jej niepodobna.

V. Cairo.

## OLEŚ

Oleś był ubogiem dzieckiem. Miał on ojca w bardzo podeszłym wieku, który nie mogąc pracować, zmuszony był drżącą ręką prosić o jałmużnę.

Oleś był szczęśliwszy niż jego ojciec w dalszym życiu, bo po upływie lat kilkunastu, odłożył sobie znaczną sumę pieniędzy, a wkrótce stał się bogatym człowiekiem. Miał złoty zegarek, piękne suknie, sypiał na puchowych poduszkach, siadywał na miękkich krzesłach. Na obiad podawano mu kilka potraw, a pieniędzy mu nie brakło.

Pewnego wieczora upadł na kolana i tak się modlił:

— Boże! byłem biedny, a za łaską Twoją stałem się bogatym i szczęśliwym. Nie mogę Ci nic ofiarować, bo

skarbów moich nie potrzebujesz. Wszystko co posiadam do Ciebie należy, dla tego błagam Cię, podaj mi dobrą myśl jak ci się mam wywdzięczyć!

Po tej modlitwie zasnął głęboko. We śnie zdawało mu się, że widzi dawno już zmarłego ojca swego siedzącego na ulicy i wzywającego pomocy przechodniów.

Oleś zrozumiał znaczenie snu tego, poznał, iż jedynie litością ku biednym, okaże prawdziwą wdzięczność Bogu. Odtąd zmienił się do niepoznania, poszukiwał biednych, strapionych, zgłodniałym udzielał pożywienia, spragnionym napoju, a podartą ich odzież zastępował nową. Z czasem stał się prawdziwym dobroczyńcą ubogich.

H. Wernic.

## ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

W niezbyt wesołym usposobieniu zbliżaliśmy się do mieszkania pułkownika, ale co do mnie, to sto razy byłem szczęśliwszy niż dziś rano, kiedyśmy się na probostwo wybierali; Julek z pewnością to samo myślał. Zdaje mi się, że Julek odgadywał dla czego idę do pułkownika, i wiedział, że wolalbym z nim rozmawiać bez świadków, bo się zatrzymał na dziedzińcu stajennym i zaczął się bawić z Bersikerem, a ja kierując się głosem pułkownika, wszedłem do stajni.

Pan Harris stał właśnie koło klatki szpaka i rozmawiał z człowiekiem, którego nigdy przedtem nie widziałem. Koń strzygł uszami i pieszczotliwie ocierał głowę o rękaw pułkownika, bo znał i kochał swego pana, a i pułkownik zachował malutki kącik w swoim sercu dla pocziwego szpaka.

Kiedy wszedłem, pan Morris kiwnął mi głową na powitanie i znowu zwrócił się do grooma i do nieznanego mi człowieka, który dotykał nóg szpaka, oglądał oczy i zęby. Wkrótce domyśliłem się, że pułkownik chce sprzedać szpaka, tylko że się jeszcze z kupcem co do ceny nie zgodzili. Dużo mówiono o zapłacie; pułkownik naznaczył sumę i za nic nie chciał od niej odstąpić, chociaż kupiec starał się go wszelkimi sposobami przekonać, że koń stary i niewart tyle. Każdy przy swoim obstawał a odchodząc kupiec powiedział:

— Do widzenia pułkowniku, może mi pan za kilka dni choć trochę ustąpi.

— Do widzenia panie James, naznaczyłem wam cenę i ani dziś ani za tydzień jej nie zmienię. — Cóż Tomku — rzekł do mnie, kiedy się kupiec oddalił — przyszedłeś pożegnać się ze szpakiem? Już go więcej u mnie nie zobaczysz.

— Przecież go pan temu człowiekowi nie sprzeda!

— I owszem — odrzekł pułkownik, głaszcząc lśniąca szyję konia. Jutro rano James przystanie na moją cenę i zabierze starego szpaka.

— Ale dla czego?



— Dla czego? Ach Tomku, czyż mało jest na to powodów? Ty pierwszy powinienes mi radzić, żebym się go pozbył.

— Niech pan szpaka nie sprzedaje!

— Jakto? mam go u siebie zatrzymać, żeby się jeszcze kiedy rozbiegał i może kogoś zabił?

— On tego więcej nie robi.

— Skąd ta pewnoś? Jeżeli raz poniósł bez przyczyny, to może mu przyjść ta fantazyja poraz drugi, a wtenczas nie miałbym żadnej wymówki przed sobą samym, bo wiem teraz że przychodzą na niego dziwne kaprysy. Pułkownik przestał mówić i głośkał szpaka; widać było że mu żal starego przyjaciela, ale że się musi z nim rozstać.

Chwilę milczałem żeby opanować wzruszenie, a kiedy się odezwał, to w głosie moim nie było czuć energii, przeciwnie, był bardzo drżący i niewyraźny:

— A jeżeli przyczyna była?

— Co takiego? — zapytał półkownik, obracając się do mnie; widać zapomniał o czem przed chwilą mówiliśmy. — Jaka przyczyna?

— Stało się to z mojej winy — wyjąkałem nieśmiało.

— Co z twojej winy?

— Szpak...

— Szpak, z twojej winy? Chłopcze, zastanów się, mów wyraźnie.

— Szpak uniósł z mojej winy.

— Z twojej winy?

— Tak.

— A to jakim sposobem?

— Uderzyłem go biczem.

— Dlaczegoś mi tego zaraz nie powiedział?

Spuściłem głowę i milczałem.

— Więc szpak stałby spokojnie, gdybyś go nie był uderzył?

— Tak.

— Czy wiesz, Tomku, co to jest kłamać?

— Wiem.

— Cóż to takiego?

— Mówić nieprawdę.

— Masz rację — rzekł półkownik — ale możemy kłamać zarówno czynem jak i słowami. Tyś kłamał czynem, gdy spokojnie słuchałeś, jakem ciebie chwalił a sobie wyrzucał nierozwagę. Mam słuszność czy nie?

Nie mogłem mu odpowiedzieć, oparłem głowę o klatkę konia i usiłowałem powstrzymać łzy cisnące mi się do oczu i łkania, które mnie w gardle dławily.

Półkownik usiadł na przewróconym korcu i przycisnął mię do siebie.

— Uspokój się, mój chłopcze — rzekł głaszcząc mnie po twarzy. — Dobrze, żeś mi teraz prawdę powiedział, a wiem, że cię to wiele kosztowało, bo odkładałeś całe dwa tygodnie.

— Ja tak żałuję... — wybełkotałem, ale więcej mówić nie mogłem, bo mnie płacz dusił.

— Tomku, nigdy nie pożałujesz, gdy będziesz mówił prawdę nie zważając, czy ci to robi przyjemność czy przykrość. „Prawdą zawstydzaj dyabła” powiada przysłowie. Wiele to znaczy być odważnym w każdym niebezpieczeństwie, ale lepiej jeszcze posiadać odwagę

moralną, i powinienes ją w sobie wyrabiać. A teraz otrzej łzy i bądź dobrej myśli.

Nie potrafię wam powtórzyć co mi półkownik mówił siedząc w stajni na korcu, podczas gdy szpak patrzył na nas, jak gdyby wszystko rozumiał, ale słowa te nie wyjdą mi nigdy z pamięci. Wyszliśmy nareszcie na dziedziniec a ja spytałem patrząc nieśmiało na półkownika:

— Ale pan szpaka już nie sprzedaje?

Pan Morris zawołał grooma i powiedział:

— Wiliamie, pojedziesz do pana James'a i powiesz mu, że konia nie sprzedaje.

## VII.

Niech się wam nie zdaje, że rodzice o nas zapomnieli, albo że myśmy o nich zupełnie nie myśleli. Przeciwnie. Co tydzień otrzymywaliśmy długie listy z domu i czytaliśmy je z zajęciem. Coprawda mniej lubiliśmy odpowiadać. Bo czyż nie jest to nieznośne siedzieć w pokoju z piórem w ręku, gdy słońce świeci i miałoby się ochotę biegać po łąkach? Jednak prawie co tydzień redagowaliśmy wspólnymi siłami listy do domu, chociaż trzeba przyznać, że odznaczały się one stylem lakonicznym i zawierały mało szczegółów z naszego życia. Mama donosiła nam, że Lucia szybko do zdrowia powraca, bo przebyła tylko lekką szkarlatynę i że wkrótce rodzice pojedą z nią nad morze. Już istniał projekt, żebyśmy i my resztę lata z nimi w Hastings spędzili. Cieszyliśmy się że zobaczymy morze, że znowu będziemy z mamą, ojcem i Lucią, ale przykro nam było opuszczać Silverhill i państwa Blossom, którzy się nami tak serdecznie opiekowali.

Muszę wam jeszcze opowiedzieć wypadek, który się zdarzył Julkowi i zakończył nasz pobyt na wsi zupełnie inaczej, niż się można było spodziewać.

Poznawszy charakter Jasia Booth w czasie łowienia ryb i wyprawy na dzwonnice, po tylu przestroгах proboszcza i półkownika, powinniśmy byli zerwać z nim zupełnie, ale ze wstydem przyznaję, że właśnie te przestrogi i napomnienia coraz mię lepiej usposabialy dla niego. Nie było dnia żebyśmy się nie widzieli: to chodziliśmy we trzech na przechadzki, to z Julkiem zabiegaliśmy do jego chaty, a czasem on nas odwiedzał; ale zwykle chodziliśmy nad staw, bo Jaś miał zawsze coś ciekawego do pokazania. Młode kawki rosły i z każdym dniem ładniały; oprócz nich Jaś miał jeszcze królik i jeża, i nieraz całemi godzinami rwaliśmy trawę dla jego zwierzątek. Pan Blossom bardzo nie lubił Jasia i gniewał się ile razy przyszedł na fermę, w końcu więc musieliśmy go prosić, żeby nas w domu nie odwiedzał, bośmy się obawiali, że zabierze bliższą znajomość z długim batem, który pan Blossom zawsze stawiał za wchodowemi drzwiami. Większą jednak część dnia spędzaliśmy w jego towarzystwie, w rozwalonej lepiance nad stawem.

(d. c. n.)

## ZAGADKA.

Gdzie wieże stare,  
Choć nie ptaszyna,  
Zwierzątko szare  
Skrzydła rozpina  
I mknie  
Jak się zwie?



## ŁAMIGŁÓWKA KWADRATOWA.

A	1	.	.	.	.	.	.	.	.
B	.	2	.	.	.	.	.	.	.
C	.	.	3	.	.	.	.	.	.
D	.	.	.	4	.	.	.	.	.
E	.	.	.	.	5	.	.	.	.
F	.	.	.	.	.	6	.	.	.
G	.	.	.	.	.	.	7	.	.
H	.	.	.	.	.	.	.	8	.

W ośmiu rzędach oznaczonych literami od A do H ułożyć w każdym po wyrazie ośmiozłóskowym, w którymby litery wskazane przez cyfry od 1 do 8 składały nazwę pożytecznego owadu. Znaczenie wyrazów: 1. Roślina z rodz. pokrzywowatych. 2. Roślina z rzędu traw. 3. Kamień, który najliczniej spotykamy na naszych polach. 4. Przymiotnik. 5. Gatunek drzewa służący na wyrób porządków gospodarskich. 6. Przymiotnik. 7. Ptaki z gatunku drożdów. 8. Roślina z rodziny krzyżowych. Sylaby: Ca—ca—czu—czy—czo—gor—ło—ły—ły—ko—kwi—brze—krze—krzy—ni—nie—mień—na—po—prze—ra—wa—wy—zi.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go.

*Szarady:* Figi — elki.

*ŁamigłóWKi głoSkowej:*

S	A
S	A
O	W
A	B

## Skrzynka do listów.

Nie możemy ci odpowiedzieć po powrocie twoim z Chin kochana **Podróźniczko**, na czynione zapytania w liście do Gołąbki, bo trudnoby było je zapamiętać. Wolemy zatem powiedzieć ci przed wyjazdem, że w twoim wieku pisać do druku nie tak łatwo jak mniemasz. Przygotowując się do tego, trzeba się najpierwej nauczyć pisać ortograficznie, a także i kaligraficznie, żeby nie utrudniać drugim czytania tego co się napisze. Następnie trzeba się wyrażać jasno i z pewnym ładem. Nie można np. pisać: byłam w Ameryce, w Niemczech, w Hollandyi, w Pireneach, w Chinach, na Madagaskarze, w Chicago, w Nowej Hollandyi, w Jerozolimie i t. d., mieszając w tak niewłaściwy sposób góry, miasta, kraje i części świata. Wiele, wiele jeszcze innych rzeczy wprawdzie trzeba i dla tego powtarzamy, że za młodu uczyć się tylko należy, a dopiero po ukończeniu nauk można próbować pisarskich zdolności. Opuszczając, jak to widzisz, wiele jeszcze innych miejscowości, wymienionych w wiadomym ci liście, również bezładnie jak te które wspominaliśmy, dodamy, że niepodobniestwem jest aby zwiedziwszy *je wszystkie* w tak młodym wieku, można było skreślić jakiś porządnym ich opis. Byłaby to tylko taka sama płatanina wyrazów jak przy wymienieniu nazwisk.

List twój **Konwalijko** posłaliśmy okazyją **Niezapominajce**. Jeżeli ci odpisze odpowiedź pošlemy gdy nam dasz twój adres.

Jeżeli się nie mylimy, to po raz pierwszy otrzymaliśmy list

od **Jani T.**, gładko i serdecznie razem napisany. Szczęśliwie to połączenie, którego umiejętność życzymy ci zachować na zawsze.

Bardzo się cieszymy, że pomiędzy zadaniami przez nas tematami konkursowymi, znalazło się coś stosownego dla **Złotej renetki**. Im starszą będziesz, tem łatwiejszemi wydadzą ci się tematy i tem też zapewne rzadziej, powstrzymywać cię mama będzie od pisania. My zaś tak wypracowania jak i liściki wasze odbieramy z prawdziwą przyjemnością.

List **Wandzi Drz.**, to nie przyjemność, ale radość szczerą nam sprawił. Pocziwe serduszek mieć musi dziewczynka, która gotowa jest wyrzec się zabawy i rozrywki dla dopomożenia biednym dzieciom ubogich rodzin.

**Kampanella** dawną jest korespondentką, a nie uczyniła za dość tylokrotnie powtarzanym warunkom korespondencji. Zawsze, jak dawniej tak i teraz chętnie odpowiadamy na liściki do nas wystosowane. Na drukowanie innych jak to już nieraz było opowiedziane, nie mamy obecnie miejsca, zapelniając dodatek utworami przeznaczonymi wyłącznie dla małych jego czytelników oraz naszą korespondencją

Dla czego to **Córa Mazurów** umilkła od tak dawna? Nie piase, do konkursów nie należy? Nie jest przecie obarczona poważniejszą pracą obowiązkową, jak **Rosiczka z nad Rowu**? A co porabia **Zygmus**? czy wszystkie zamiary tak prędko przyprowadza do skutku, jak zamiar napisania do nas? Wszak wie o tem że u prawdziwego mężczyzny raz podjęte postanowienie powinno bez zwłoki w czyn przechodzić?

**Jodełka z nad B.** niech przeczyta odpowiedź daną **Kampanelli**. Redakcyi bardzo miło zabrać znajomość z nową korespondentką, która mając lat 9, już od lat „kilku” czytuje **Wieczory**.

**Janka Jak.** niepotrzebnie się obawia, że jej ręka drżała; nie znać tego na foremnych i wprawnych już paluszkami kreślonych literach. Ciocia **Emcia** o ile słyszeliśmy zawsze była dobrą uczennicą i widać z listu **Hanki** że musibyc równie dobrą ciocią.

Siostrzyczkom: **Halinie** i **Kamusi** przesyłamy uściśnienie serdeczne wraz z wyrazami ubolewania nad ciosem, jakim się podobalo Bogu dotknąć was dzieci drogie.

Nie ty jedna tylko, **Kuropatewko z nad Warty**, byłaś tak uszczęśliwioną, otrzymawszy nagrodę. Prosimy o przeczytanie liściku do **Kampanelli**.

**Złota Róża** trafnie odgadła zagadkę **Antoszki**, nie jest to właściwie mówiąc zagadka, lecz rodzaj alegorya.

**Wandziu Skrz.**, skoro tylko nie zbywało ci na dobrych chęciach, to już nic więcej nie wymagamy od ciebie, nie możemy bowiem żądać od was, dzieci drogie, aby prace wasze były doskonałemi. O najlepszych zaś chęciach nie wątpimy po przeczytaniu słów, w których tłumaczysz nam, dlaczego się uczysz. Dotrwaj w tych zamiarach, a nie powstydzą się ciebie ci, których czyny podziwiasz. Tymczasem zaś pocziwe słowa twego listu nawiązały pomiędzy nami tę nie serdeczną, która łączy nas z działwą.

**P. Kudr.** Jeżeli, jak to Pani łaskawie przyznała, słowa nasze budzą w tych małych serduszkach uczucia choć trochę wznoszące „nad poziomy”, to nawzajem przywiązanie okazywane nam przez działwę budzi w nas nową chęć do pracy, którą wyczerpałyby mo że trudności, z jakimi walczyć nieraz przychodzi.

**P. Jar.** również podziękowanie od nas należy za słowa uznania. Wszyscy dziećmi potroszę jesteście: zachęty nam zawsze potrzeba, bo ona jedna wpaja w nas przekonanie, że trud podjęty nie idzie na marne.

**Krokodylowi** i **Jaszczurce** wypowiemy sąd nasz niedługo; dzisiaj groźnej parze przesyłamy uściski.

ŁamigłóWKi przesłane nam przez **Janie T.**, **Prymulkę różową**, **Wielkiego Węza**, **Or. B.** przejrzymy.